

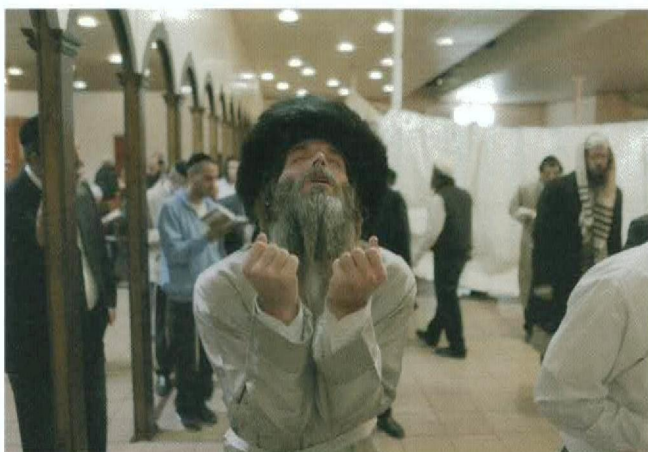
Srebrny Lajkonik dla najlepszego dokumentu na 55. Krakowskim Festiwalu Filmowym. Nagroda FIPRESCI na VI Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Odessie. Znakomite przyjęcie w Zwierzyńcu, Insku i na 40. Festiwalu Filmowym w Gdyni. Pełnometrażowy dokument „Dybuk. Rzecz o wędrowce dusz” (Polska – Szwecja – Ukraina 2015) stał się bez wątpienia wydarzeniem. Rozmawiamy z reżyserem, scenarzystą i producentem filmu, Krzysztofem Kopczyńskim.

ROZMOWA: Andrzej Bukowiecki

ZDERZENIE KULTUR

—„Dybuka. Rzecz o wędrowce dusz” otwiera scena z przedwojennego filmu fabularnego Michała Waszyńskiego „Dybuk”, czerpiącego z mistycyzmu żydowskiego. Dowiadujemy się z niej, że dybuki to dusze zmarłych grzeszników nie mogące zaznać spokoju, zawieszone między światem naszym i „tam-tym”. Jak zaczęła się twoja przygoda z tym filmem? Wiosną 2008 roku redaktorzy Katarzyna Malinowska i Wojciech Diduszek z TVP Kultura zapytali, czy nakręciłbym dokument o Waszyńskim. To była kusząca propozycja, bo do tamtego czasu – ściślej: rok wcześniej – jako reżyser podpisałem się tylko pod jednym dokumentem, „Kamienną ciszą”. Za to od 1996 roku

wiele ich wyprodukowałem. Doszedłem do wniosku, że skoro „Kamienna cisza”, opowieść o zamordowaniu Afganki oskarżonej o cudzołóstwo, zdobyła międzynarodowy rozgłos – film pokazano w czterdziestu krajach, w tym w dwudziestu w mojej obecności – poradzę sobie również z nowym zadaniem. Bardzo starannie się do niego przygotowałem. Przeczytałem książkę francuskiego dziennikarza, Samuela Blumenfelda, „Człowiek, który chciał być księciem. Michał Waszyński – życie barwniejsze niż film”, która właśnie wtedy ukazała się w Polsce. Obejrzałem ponownie filmy twórcy „Dybuka”. I... uznałem, że to nie jest temat dla mnie. —Mniej więcej w tym samym czasie zostałem zaproszony



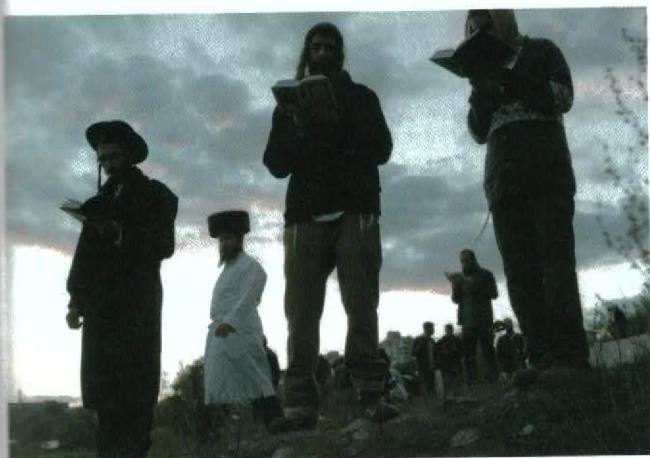
W ukraińskim Humaniu koegzystują dwa zupełnie odrębne światy. To interesujące miejsce zainspirowało Krzysztofa Kopczyńskiego. Na tej i kolejnych stronach – fotosy autorstwa Witolda Krassowskiego

z „Kamienią ciszą” do Kijowa, na festiwal, którego pełna nazwa brzmi: Ukrainian Context – Human Rights Documentary Film Days, a potoczna Docu Days. I właśnie wówczas, w Kijowie, dowiedziałem się, że do ukraińskiej miejscowości Humani rokrocznie na przełomie września i października chasydzi z całego świata, by świętować Rosz Haszana – żydowski Nowy Rok – i modlić się nad grobem cadyka Nachmana, który działał w Humaniu i Braclawiu w XVIII i XIX wieku, i był prawnikiem założycielem chasydyzmu, Pana Dobrego Imienia.

Waszyński również miał chasydzkie korzenie... Właśnie! A ja byłem świeżo po obejrzeniu na nowo jego „Dybuka”, co zwiększyło moje zainteresowanie tematyką chasydzką. Korzystając z półtoradniowej przerwy między pokazami „Kamiennej ciszy” w Kijowie, wybrałem się do Humania, gdzie obok Ukraińców spotkałem polskich i żydowskich autochtonów. Ci drudzy zaprowadzili mnie na grób Nachmana. Między blokami mieszkalnymi, które przypominały warszawskie Bródno albo Stegny z lat 70., kręciły się żydowskie dzieci mówiące po hebrajsku. Czarnowłose dziewczynki nie nosiły strojów ukraińskich, chłopcy mieli pejsy. Wyczułem, że trafiłem w ciekawe miejsce, w którym musi się coś wydarzyć. Werner Herzog twierdzi, że dokumentalista często rozpoczyna pracę nad filmem od znalezienia się w interesującym miejscu. Wtedy prędzej czy później spotka związanego z tym miejscem człowieka, którego historię uzna za wartą opowiedzenia na ekranie.

Spotkałeś tam kogoś takiego? Tak, ale trochę później, w Braclawiu. Był to sędziwy Wołodia. W „Dybuku” nie opowiadamy historii jego życia, skądinąd frapującej. W świetle tego, o czym jest nasz film – zderzenia kultur, które od wieków pozostają ze sobą w konflikcie: chasydów i ukraińskich nacjonalistów, pokazujemy natomiast Wołodię – Ukraińca opiekującego się żydowskimi grobami – jako kogoś, kto mimowolnie próbuje wzniesić się ponad historyczne podziały.

Kiedy i jak wybuchł konflikt? W 1768 roku. Doszło wtedy do rzezi humańskiej, w której z rąk Kozaków pod przywództwem Iwana Gonty i Maksyma Żeleźniaka śmierć poniosły tysiące Polaków i Żydów. Dokładna liczba ofiar jest nieznana. Umierający 40 lat później na gruźlicę cadyk Nachman kazał się pochować między nimi. Upamiętnia go synagoga wzniesiona w Humaniu po uzyskaniu przez Ukrainę niepodległości. Cześć oddają mu chasydzi przybywający na Rosz Haszana, ale – choć ich obecność przynosi Humaniovi wymierne korzyści finansowe – nie przez wszystkich są tam mile widziani. Z pewnością nie przez tych Ukraińców, którzy – co widać w naszym filmie – stawiają pomnik Gontie i Żeleźniakowi, uważając ich za ukraińskich bohaterów narodowych. Wprawdzie oficjalnym powodem składania hołdu tym dwóm Kozakom nie jest rzeź humańska, lecz ich udział w walkach o wyzwolenie narodowe, za który zapłacili wysoką cenę, ale chasydzi widzą w tym mimo wszystko gest złej woli, prowokację. I tak ciągną się te niesnaski przez dziesięciolecia.



Czy twoim zdaniem mają one jedynie lokalny charakter? Mają, na szczęście, lokalny zasięg, ale wymiar – uniwersalny. W konflikcie ukraińsko-chasydzkim – jeśli weźmie się pod uwagę także jego aspekt historyczny – może przejrzeć się cały świat. W tym sensie „Dybuk. Rzecz o wędrowce dusz”, ukazując współczesne wydarzenia, sięga do źródeł Holocaustu czy różnych konfliktów między autochtonami i imigrantami. Zresztą sam konflikt ukraińsko-chasydzki, nawet jeśli nie wykracza poza granice Humania, jest osadzony w tygłku kulturowym. Przecież w naszym filmie, obok chasydów i działaczy lokalnych organizacji ukraińskich, głównie z Humania, oglądamy zamieszkałych w Humaniu i Braclawiu Żydów autochtonów, którzy urodzili się w tych miastach i nie wyemigrowali do Izraela, a także humańskich Kozaków. Notabene zgodę na filmowanie tych ostatnich musieliśmy uzyskać od atamana całej Ukrainy.

I tak wróciliśmy za kulisy realizacji „Dybuka. Rzecz o wędrowce dusz”. Cofnijmy się do momentu, w którym zrezygnowałeś z kręcenia filmu o Michale Waszyńskim, ale – dowiedziawszy się o Rosz Haszana w Humaniu – pojechałeś tam na rekonesans. Co było dalej? Wybrałem się do Humania po raz drugi, już w czasie Rosz Haszana, na zdjęcia próbne. Tym razem nie byłem sam, lecz w towarzystwie operatora obrazu Jacka Petryckiego, dziś już niestety nieżyjącego operatora dźwięku Jarosława Roszyka, kierowniczkę produkcji Agnieszki Janowskiej i fotografa Witolda Krassowskiego. Witold zawsze mówi, że jest tylko fotografem. Tymczasem wykłada sztukę fotograficzną na warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. Z jego zdjęć powstała wystawa, która towarzyszyła pokazom na Krakowskim Festiwalu Filmowym.

Dzięki nawiązanym przeze mnie wcześniej kontaktom z żydowskimi autochtonami, uzyskaliśmy wszelkie zgody na filmowanie. Poznaliśmy chasydów, zaprzyjaźniliśmy się z jednym z nich, nowojorczykiem, którego brat był głównym menedżerem obchodów Rosz Haszana w Humaniu. Wprawdzie jeszcze nie wiedzieliśmy, jaką historię opowiemy w filmie i kto będzie jej bohaterem, ale inspirujące miejsce zostało znalezione, więc zdecydowaliśmy, że kręcimy dalej. Zabrałem się do pisania zarysu scenariusza, a jako producent, działając w imieniu firmy Eureka Media, której jestem współwłaścicielem, rozpocząłem zbieranie funduszy.

Od czego? Od zmontowania trailera. Miał wzbudzić zainteresowanie potencjalnych koproducentów, ale był tak słaby, że nie spełnił swojej roli. Ze wstydu dopiłnowałem zniszczenia wszystkich kopii. Następnie podjęliśmy starania o dofinansowanie z Funduszu Media Unii Europejskiej. Projekt został wysoko oceniony, bez przeszkód dostaliśmy pieniądze. Zachęcony powodzeniem złożyłem w Polskim Instytucie Sztuki Filmowej wniosek na development. Rozpatrzone go pozytywnie, więc mogliśmy kontynuować pracę. Dlaczego trwały one tak długo? Dlaczego od pierwszych zdjęć do premiery „Dybuka” upłynęło...

Siedem lat! No właśnie: dlaczego aż tyle? Głównie dlatego, że są tematy, do których po prostu trzeba dorosnąć. Nie chciałem, aby powstał film tylko etnograficzny, lecz także taki, który mówiłby o rzeczach ważnych dla historii Ukrainy, dotknął istoty zderzenia kultur, pomógł w zrozumieniu tego, co się dzieje w Ukrainie obecnie. A to wymagało jeszcze wielokrotnych wyjazdów do Humania i Braclawia, a także do Izraela. Poza tym okazało się, że był w tym wszystkim palec Boży. Dopiero bowiem pod koniec tego siedmioletniego okresu, w lipcu 2013 roku, na miesiąc przed wyznaczoną już datą rozpoczęcia głównych zdjęć wydarzyło się coś, co miało dla filmu kapitalne znaczenie. Przyjechaliśmy do Humania, nad jezioro, w którym chasydzi, posłuszni tradycyjnemu obrzędowi taszlichu, topią swoje grzechy. I co zobaczyliśmy? Wielki krzyż stojący w najbardziej widocznym miejscu, na nadjeziornej skarpie. Przedtem go tam nie było. Krzyża pilnowali policjanci ukraińscy, był monitorowany przez kamerę ustawioną przez chasydów... Mieliśmy możliwość sfilmować ten krzyż i ukazać napięcia, jakie wywołało postawienie go w tym miejscu podczas najważniejszego dla



Krakowski Festiwal Filmowy 2015: Krzysztof Kopczyński odbiera z rąk Hanny Polak Srebrnego Lajkonika dla reżysera najlepszego filmu dokumentalnego w Konkursie Polskim. Nagrodę przyznano za „odagę i bezkompromisowość ukazania wyjątkowo skomplikowanego, uniwersalnego problemu wzajemnej nietolerancji w obliczu zagrożeń współczesnego świata”.

Żydów święta. Może więc dla uchwycenia obiektywnie takich zaskakujących sytuacji warto było czekać te siedem lat?

– Zwłaszcza że w tym czasie zapewne zabiegałeś też o dofinansowanie projektu. Czy z równie pomyślnymi rezultatami, jak przedtem? Zbieranie pieniędzy na „Dybuka” trwało długo, co też trochę tłumaczy siedmioletnie oczekiwanie na premierę filmu. Projekt przedstawiałem na licznych pitchinguach, m.in. w 2012 roku na pitchingu w Oulu podczas Nordisk Forum, najważniejszego spotkania dokumentalistów z krajów skandynawskich, na którym Polska była gościem honorowym. Gospodarze dali mi do zrozumienia, że w projekcie dostrzegają potencjał. Po pitchingu szefowa Działu Filmu Dokumentalnego w Szwedzkim Instytucie Filmowym, która większość decyzji podejmuje jednoosobowo, zadeklarowała, że dostanę od nich pieniądze na „Dybuka”, jeśli znajdę szwedzkiego koproducenta filmu. Znalazłem go szybko w osobie Davida Herdiesa z firmy Momento Film.

– Twój „Dybuk” oczywiście nie ukazuje Ukrainy w złym świetle, jednak w samych różowych kolorach tego kraju też nie maluje. Jak w tej sytuacji udało ci się pozyskać ukraińskich koproducentów filmu? Tu objawiła się ich wielkość. Jeśli robię film w koprodukcji z innymi krajami, to zawsze pytam partnerów z tych krajów, czego od filmu oczekują. Tak postąpiłem i tym razem. Gennady Kofman, dyrektor artystyczny kijowskiego festiwalu Docu Days, który ma w Charkowie firmę produkcyjną MaGiKa Film, i zachęcony przez niego do współpracy Danił Wulickij, ówczesny dyrektor FilMOTEKI Narodowej Ukrainy, zgodnie odpowiedzieli, że pragną, abym w „Dybuku” naświetlił konflikt w Humaniu w sposób, na jaki żaden ukraiński twórca nigdy by się nie zdobył. Zdawali sobie sprawę, że skoro mają reżysera z państwa niezaangażowanego w spór, to warto poznać jego punkt widzenia, a nie naginać go do własnego. Czyż nie jest to wspaniała postawa? Przełożyła się ona zresztą na ocenę filmu. Na przykład po czerwcowym pokazie „Dybuka” dla członków Stowarzyszenia Filmowców Polskich w kinie Kultura w Warszawie jeden z widzów powiedział, że nakręciłem ten film w stylu reportażu BBC: bezstronnie, przedstawiając racje zarówno chasydów, jak i Ukraińców. Bardzo ucieszyła mnie ta opinia.

– Czy na Ukrainie też odbył się pitching? Tak. Przyznawano na nim środki finansowe Państwowej Agencji Filmowej Ukrainy. Projekty oceniało tajnie osiemnastu ekspertów. Nasz otrzymał siedemnaście wysokich ocen i jedną bardzo negatywną. To normalne, mógł się komuś nie podobać.

– W jaki sposób koprodukcja „Dybuka” ze Szwecją i Ukrainą wpłynęła na kompletowanie ekipy realizatorskiej filmu? W takich sytuacjach obowiązuje zasada, że dana kinematografia, koprodukując film, musi mieć w nim również tzw. „creative input” – wkład twórczy. Dlatego „Dybuk” został zmontowany przez od dawna mieszkającego i pracującego w Szwecji, m.in. jako profesor szkoły filmowej w Sztokholmie,

Michała Leszczyńskiego, montażystę „Ofiarowania” – ostatniego, wspaniałego filmu Andrieja Tarkowskiego.

– Z Ukrainy mieliśmy przede wszystkim drugiego – obok Jacka Petryckiego – autora zdjęć. Był nim Serhij Stefan Stecenko, później współautor zdjęć do filmu „Majdan. Rewolucja godności” Siergieja Łoznicy. Materiały, jakie nakręcił dla „Dybuka”, oceniam wysoko, jego samego też bardzo polubiłem. Praca na dwie ekipy operatorskie okazała się szczególnie owocna, gdy do Humania przybyły tysiące chasydów. Jedna kamera nawet w rękach najlepszego operatora nie zdołałaby uchwycić wielu ważnych momentów. Strona ukraińska przydzieliła nam ponadto bardzo sprawną obsługę drona z kamerą, dodatkowych dźwiękowców i kierowników produkcji.

– Jeśli chodzi o finansowanie „Dybuka. Rzeczy o wędrownie dusz” przez stronę polską, zatrzymaliśmy się na przyznaniu przez PISF środków na development. Ale przecież na tym się nie skończyło. Poza dotacją na development dostaliśmy stypendium scenariuszowe z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Napisalem tekst, który opatrzył cennymi uwagami Michał Komar, współpracujący z Działem Literackim PISF-u. Potem projekt trafił w PISF-ie do komisji Jerzego Śladowskiego, gdzie uzyskał wysoką ocenę.

– Po siedmiu latach starań wreszcie mogłeś rozpocząć własowe zdjęcia. Kiedy dokładnie to nastąpiło? 24 sierpnia 2013 roku, w ukraińskie Święto Niepodległości i na dwa tygodnie przed Rosz Haszana. Zdjęcia zakończyły się pod koniec września. Do filmu weszło wiele materiałów ze zdjęć próbnych. Ale wiele nie weszło, na przykład sceny zrealizowane w Izraelu. Pracowałem tam się tam z trudem. Izraelscy chasydzi nie mogli zrozumieć, dlaczego chcemy nakręcić „Dybuka”, co dla nich oznaczało konieczność zajmowania się złem. Dawali też do zrozumienia, że wcześniej nie mieli najlepszych doświadczeń z filmowcami.

– Jak z perspektywy czasu oceniasz te siedem lat, które poświęciłeś „Dybukowi”? To był bardzo interesujący i ważny okres w moim życiu. I bardzo piękny, także dlatego, że nigdy wcześniej nie widziałem, żeby współrealizatorzy filmu dokumentalnego tak mocno angażowali się w jego powstanie. Dotyczyło to również postprodukcji, nad którą czuwało Studio Orka, nawiąsem mówiąc współfinansujące produkcję „Dybuka”.

– Ile godzin liczy łącznie cały materiał zdjęciowy? Około pięćdziesięciu. To nie jest ani za dużo, ani za mało. Dla porównania: Hanna Polak i Andrzej Celiński realizując film „Dzieci z Leningradzkiego” nakręcili dwieście godzin materiału.

– Kinowa wersja „Dybuka” doczekała się już kilkunastu pokazów na festiwalach i przeglądach w kraju i za granicą. Miałeś liczne spotkania z publicznością. Jakie opinie o filmie zapadły ci w pamięć? Wiele z nich utwierdziło mnie w przekonaniu, że widzowie potrafią lepiej zinterpretować film niż ja sam. W wypowiedziach o „Dybuku” wyławiali takie aspekty

filmu, o których w ogóle nie pomyślałem, bądź też wydały mi się drugorzędne. Na przykład na Letniej Akademii Filmowej w Zwierzyńcu jeden z uczestników dyskusji, którą prowadził Konrad J. Zarębski, podziękował mi za pokazanie ukraińskiej biedy. Rzeczywiście, widać ją w domu i zagrodzie Wołodii – opiekuna żydowskich grobów – na targu, w przytułku dla psychicznie chorych. Ów dyskutant powiedział, że zjeżdżał Ukrainę wzdłuż i wszerz, więc ma podstawy, by twierdzić, iż obraz tego kraju w „Dybuku” jest bardzo prawdziwy.

— Polska premiera „Dybuka” odbyła się w czerwcu na 55. Krakowskim Festiwalu Filmowym. Ukraińska – w lipcu, na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Odessie, gdzie film otrzymał Nagrodę Krytyki Filmowej FIPRESCI. Warto zwrócić uwagę na uzasadnienie werdyktu. Na wniosek członka jury, ukraińskiego krytyka, pojawiła się w nim kwestia wstępu do Ukrainy, która po wielu latach, jakie mijają od uzyskania przez nią Niepodległości, wciąż nie radzi sobie z problemem pamięci historycznej. Ten motyw przewijał się także w recenzjach – w Ukrainie te, na które natrafiłem, czy to w prasie, czy w sieci, były przychylne. W Odessie „Dybuk” został pokazany w obecności czterystu widzów. Co najmniej połowa z nich

została na dyskusji, która trwała godzinę. Mogłaby dłużej, ale na przeszkodzie stanęły względy organizacyjne. Publiczność biła brawo nie tylko po, ale również w trakcie projekcji. Parę osób płakało ze wzruszenia. A kiedy pokaz dobiegł końca, Żyd z Odessy powiedział do siedzącej obok niego ukraińskiej dziennikarki: „Przepraszam cię za Żydów”. A ona mu odpowiedziała: „Przepraszam cię za Ukraińców”.

— **A kiedy premiera „Dybuka” w Szwecji?** W styczniu, na festiwalu w Göteborgu. Wcześniej film będzie pokazany w Lipsku, Chicago, Budapeszcie, Łodzi, Amsterdamie – na IDFA, uważanym za najważniejszy festiwal dokumentu na świecie, gdzie nasz film znalazł się w specjalnym programie stworzonym przez Benjaminą Barbera, autora książki „Jihad kontra McWorld” – i jeszcze w Moskwie, Jerozolimie i ponownie w Warszawie, na festiwalu Watch Docs. W przyszłym roku ukaże się też książka o naszych dybukach, którą piszę wspólnie z Anną Sajewicz. Będzie rozpowszechniana razem z filmem, ale nie jest jego streszczeniem, przedstawia inny nieco punkt widzenia. Kamery można przecież postawić w różnych miejscach ■

PRAWIE JAK WOODSTOCK

ROZMOWA: **Andrzej Bukowiecki**

Jacke Petrycki, PSC, jeden z dwóch głównych autorów zdjęć w dokumencie Krzysztof Kopczyński „Dybuk. Rzecz o wędrówce dusz”, opowiada o swojej drodze do tego filmu, o koncepcji strony wizualnej i środkach technicznych, którymi ją urzeczywistnił.

Jacku, wraz z ukraińskim operatorem, Serhijem Stefanem Stecenko, zrobiliście zdjęcia do „Dybuka. Rzecz o wędrówce dusz”. Jak zaczęła się twoja przygoda z tym filmem?

Propozycję dołączenia do ekipy „Dybuka” dostałem chyba sześć lat temu. To miała być opowieść o obchodach żydowskiego Nowego Roku, Rosz Haszana, w Humaniu na Ukrainie, gdzie miało z tej okazji przybyć co najmniej piętnaście tysięcy chasydów. Ktoś mi powiedział, że Rosz Haszana swoim charakterem i malowniczością przypomina legendarny festiwal Woodstock z 1969 roku. W tym porównaniu było trochę przesady, jednak podzielało ono na moją wyobraźnię. Radość potęgowała perspektywa ponownej współpracy z Krzysiem Kopczyńskim. W 2007 roku z Hanią Polak robiliśmy zdjęcia do jego debiutu reżyserskiego – dokumentu „Kamienna cisza”.

Co jeszcze wiedziałeś o świecie Rosz Haszana przed rozpoczęciem realizacji Dybuka?

To święto ruchome, ale obchodzone zawsze jesienią, przez tydzień. Wiedzieliśmy więc, ile będziemy mieć czasu na obserwowanie przybyłych do Humania z całego świata chasydów, ich życia prywatnego i religijnego. Domyślaliśmy się też, że w ten czy inny sposób zademonstrują swoją ortodoksję. Moment powitania żydowskiego Nowego Roku przypada w określonym dniu, godzinie i minucie, na przykład o 19.52. Jest to więc chwila kulminacyjna, najpierw podniosła, a potem przeżywana, już do białego rana, żywiołowo. Refleksyjność łączy się tu z radością, a na końcu ze smutkiem, podobnym do tego, jaki wiąże się z końcem wakacji. Te informacje pozwalały nam wyobrazić sobie przyszły film.

Wyobrażenie powoli nabierało realnych kształtów...

Spędziliśmy tydzień w Humaniu na Rosz Haszana, na razie na dokumentacji. Chcieliśmy się przygotować do właściwych zdjęć i zebrać materiał roboczy – literacki, jako podstawę do napisania zarysu scenariusza, i filmowy, z którego miał powstać trailer „Dybuka...”, zachęta dla potencjalnych inwestorów. Wtedy też spotkaliśmy Ukraińca Wołodę, opiekuna żydowskich grobów, który został jednym z naszych bohaterów.

Już podczas pierwszej wizyty w Humaniu spostrzegliśmy, że przyjezdni chasydzi nie skonfliktowali się z miejscowymi Żydami, którzy nie są ortodokсами. Konflikt tlił się wtedy między chasydami a pewną grupą nacjonalistów ukraińskich, która zbierała się w jakichś dziwnych miejscach i głosiła swoją ideologię.

Z obserwacji samego Rosz Haszana wysuniliśmy poza tym wniosek praktyczny: z uwagi na równoczesność wartych sfilmowania zdarzeń i wielotysięczny tłum uczestników będziemy potrzebować jeszcze jednego operatora. Podczas któregoś z przygotowawczych pobytów na Ukrainie Krzysztof zaproponował współpracę przy „Dybuku...” Serhijowi Stecenko.

Co było potem?

Zdjęcia w Izraelu. Zbieraliśmy tam informacje o związkach chasydów z Humaniem i Braclawiem, gdzie miał wyznawców założyciel tamtejszego ruchu chasydzkiego, cadyk Nachman. Bez pomocy naszego researchera, syna bardzo ważnego rabina, którego nazwisko otwierało wszystkie drzwi,

do wielu informacji byśmy nie dotarli. Filmowanie w Izraelu nie było łatwe, ale przywieźliśmy stamtąd ciekawe materiały, wykorzystane w trailerze.

W końcu zapadła decyzja o wyjeździe do Humania na właściwe zdjęcia do „Dybuka...”.

Tym razem byliśmy w Humaniu i Braclawiu dłużej niż tydzień, żeby nie uронić nic z atmosfery bezpośrednio poprzedzającej Rosz Haszana. Wiedząc już, że będę mieć przed kamerą dwa odmienne światy – chasydzki i ukraiński, postanowiłem podkreślić różnice między nimi w warstwie wizualnej filmu. Ten pierwszy zresztą też nie był wewnętrznie jednolity – czasem ustabilizowany, podczas modłów, innym razem zaś, w trakcie ekstazy tańców, bardzo żywiołowy. Dlatego modlitwy i inne raczej statyczne sytuacje filmowałem kamerą umocowaną na statywie, a te dynamiczne – z ręki. Natomiast uroczystości ukraińskie, mimo ich patosu i pompatości, nie były na tyle sztywne, żeby używać statywu, ale nie miały też w sobie jakiejś nadzwyczajnej ekspresji, która nakazywałaby wziąć kamerę do ręki. Idealnym rozwiązaniem okazał się mini Steadicam, polecony mi przez firmę EBH, z którą bardzo lubię współpracować. Urządzenie okazało się doskonale dopasowane wagowo do kamery cyfrowej Sony EX3, którą się posługiwałem. Mini Steadicam, w przeciwieństwie do Steadicamu, nie ma monitora podglądowego. Za to wspomniana kamera ma ekran LCD. Z zasady jestem przeciwny jego używaniu, co wpajam moim studentom, ale w tej sytuacji był on nieodzowny, umożliwił obserwację obrazu w trakcie rejestrowania go przy użyciu mini Steadicamu. Na marginesie dodam, że mój ukraiński kolega robił zdjęcia filmowe do „Dybuka...” aparatem fotograficznym Canon. A wracając do kwestii estetycznego rozdzielania dwóch światów, dwóch kultur, powiem jeszcze tylko, że ponieważ świat chasydów był – z racji czarno-białego ubioru – prawie monochromatyczny, w postprodukcji obrazu wzmocniliśmy to wrażenie, zdejmując trochę koloru. Natomiast i tak pełnemu żywym barw światu Ukrainy jeszcze przydałmy cukierkowej, krzykliwej kolorystyki.

Do realizacji sceny finałowej została użyta inna nowinka techniczna: dron. Jak się sprawdziła?

Pół życia zawodowego pracowałem w PRL, posługując się raczej siermiężnym sprzętem filmowym, i wciąż jeszcze nie przywykłem do rozglądania się za cudami techniki. Miałem jednak obok Krzysztofa Kopczyńskiego, nie tylko reżysera, ale także bardzo dbałego producenta „Dybuka...”. Kiedy spytał, co bym powiedział na dron, przyznaję, szczerze mi opadła. Sterująca dronem ekipa ukraińska obawiała się, że silny wiatr może skomplikować lub wręcz uniemożliwić zdjęcia, ale na szczęście w porę ucił. Operatorzy drona sumiennie stosowali się do moich zaleceń jako autora zdjęć, a drobne odstępstwa, jakie poczynili, okazały się słuszne.

Widzowie „Dybuka...” zauważyli piękne zdjęcia pejzażu...

Cieszy mnie to. Fakt, polowaliśmy z Serhijem na pejzaże, jako że natura odgrywała dużą rolę w życiu i nauczaniu cadyka Nathana. Jeśli zatem w „Dybuku...” udało nam się uchwycić choć trochę z jej piękna, to nie dla niego samego. Poza tym powitanie żydowskiego Nowego Roku odbywa się nad wodą, więc przyroda współtworzy nastrój głównego motywu filmu.